

LIRA
WYDAWNICTWO

Aldonka
Monia
Kasiunia
i tajemnicze
zwłoki

JOANNA WTULICH

Gdzie diabeł nie może...

Piętrowa intryga na wsi,
czyli **komedia kryminalna**
z kołem gospodyń w roli głównej!



Gdzie
diabeł
nie może...

JOANNA WTULICH

Gdzie
diabeł
nie może...

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2024
ISBN: 978-83-67915-83-0

*Pamięci Zbyszka
Bez Ciebie Stupsk już nie jest taki sam...*

— Czy to dobry pomysł? — W ciemnościach rozległ się nerwowy szept.

— Masz lepszy? — odpowiedział dyszkantem właściciel drugiego głosu. — Lepiej mi pomóż, zamiast się zastanawiać.

Zaraz potem dało się słyszeć sapnięcie z wysiłku.

— Jasna cholera! Jakie to ciężkie — wystękał właściciel niższego głosu.

— Jak będziesz tyle gadać, w końcu nas ktoś usłyszy — zawyrokował piskliwie dyszkant.

— Daj spokój. Noc jest. O tej porze ludzie śpią — dodał raźniej i odrobinę głośniejszym głosem.

— Albo ukrywają zwłoki. — Dyszkant zachichotał.

— Za dużo gadasz — warknął ten pierwszy. — Zamknij się wreszcie i mi pomóż. Nie dam rady... — Kolejne stęknienie odbiło się echem od ściany budynku. Potem coś zaszurało, ktoś zaklął, chlupnęło i przez chwilę można było usłyszeć jedynie miarowe oddechy osób, które wykonały właśnie spory wysiłek i teraz odpoczywają albo nasłuchują, czy nikt przypadkiem nie czai się w pobliżu. Jednak pograżony we śnie Stupsk nie słyszał ani głosów, ani szurania, ani tym bardziej auta sunącego cicho i bez świateł główną ulicą wsi.

I

— Gdzie jest przewodnicząca? — najeżyła się niemożliwie szczupła Monia, pełniąca w Kole Gospodyń Wiejskich w Stupsku zaszczytną rolę zastępczyni owej przewodniczącej, której brak dotkliwie odczuwały zgromadzone pod remizą OSP członkinie tegoż Koła. A brak ten był tym większy, że przewodnicząca dzierżyła klucze do przybytku będącego siedzibą nie tylko OSP, ale też Koła.

— Może się tylko spóźnia. — Wzruszyła ramionami Aldonka, szefowa kuchni, która zarządzała garnkami i dbała, by na wszelkie uroczystości nie zabrakło jedzenia. Pod jej kierownictwem bowiem panie z Koła szykowały rozmaite pyszności. — To do niej niepodobne. Wie, że ten przedwyborczy festyn musi być na najwyższym poziomie.

— No tak. Musimy pokazać się od najlepszej strony. Żeby elity widziały, na co te dotacje idą — parsknęła z przekąsem Kasia i zaplotła ramiona na obfitym biuście.

Zaraz też rozgorzała dyskusja wśród członkiń, która na chwilę odwróciła uwagę kobiet chroniących się pod daszkiem przed lipcowym słońcem, od niepojawienia się przewodniczącej na ważnym zebraniu. Plan posiedzenia zakładał przydzielenie zadań oraz ułożenie menu na uroczystość. Trzeba

było rozdysponować obowiązki, a bez przewodniczącej i jednocześnie matki założycielki tego zacnego zgromadzenia, jakim było Koło w Stupsku, pogodzić rozgadany tłumek było tak trudno, jak budowniczych wieży Babel.

W końcu Monia spojrzała na zegarek. Przewodnicząca spóźniała się już pół godziny, a to oznaczało, że nawet najświeższe plotki, którymi raczyła wszystkich Jadzia, zwana „Wolną Europą”, wyczerpały się.

— Czy nikt nie ma kluczy do tej cholernej remizy? — wściekła się Marynia Bogacka, żona miejscowego biznesmena, kobieta słusznej postury oraz fryzury.

Marynię, poza wrodzoną odpornością na wszelkiego rodzaju zniewagi i trudności, natura obdarzyła bujnym, ciemnym i układającym się w miękkie fale włosom. Żeby ujarzmić ów gąszcz, Marynia zużycie lakieru miała takie, że w zasadzie miejscowy sklep trzymał zapasy specjalnie dla niej. Na wielkie wyjścia, na które z racji bycia żoną miejscowego bogacza bywała zapraszana często, o głowę Maryni dbała Marlenka, fryzjerka, która nieraz płakała nie tyle przez Marynię, co przez jej odporne na zabiegi stylizacyjne owłosienie. Marlenka specjalnie w swym napiętym grafiku jedynej fryzjerki w promieniu trzech wsi wygospodarowywała czas, by przed każdym wielkim wyjściem Maryni iść do kościoła, pomodlić się, co by

wilgoci w powietrzu nie było i pieczołowicie układane przez nią fale nie zamieniły się w bezładną plątaninę. Tak twierdzili złośliwcy. Prawda jednak była taka, że Marlenka koła w zaciszu kościelnej nawy skołatane złośliwymi uwagami Maryni nerwy. Bo to trudny człowiek był.

Z miejsca Marynię trudno było ruszyć i to zarówno w sensie mentalnym, jak i fizycznym, gdyż gabarytem wyróżniała się spośród członkiń Koła. Marynia posiadała gen przywódczy i nie bardzo jej się widziało, że na przewodniczącą Koła wybrano kogo innego, dlatego wcieliła się gładko w rolę skutecznej i totalnej opozycji. Z zasady nie zgadzała się na wszystko, co proponowała przewodnicząca. Rzuć pomysł, a argumenty, żeby go nie wdrażać, zawsze się znajdują. Taką zasadą kierowała się Marynia w pracach Koła, czekając cierpliwie na kolejne wybory.

— Ano nie ma nikt klucza. Tylko strażacy... — Aldonka nie dokończyła, kiedy w powietrze wwiercił się przejmujący sygnał syreny strażackiej.

Oczy zgromadzonych pod remizą kobiet zwróciły się na Marynię. Z triumfalną miną obciągała bluzkę, która podjechała jej na krągłym brzuchu pod piersi, kiedy wciskała przycisk alarmowy.

— No co? Nie będę tu stała do jutra. Zaraz będą chłopaki, to nam otworzą — stwierdziła, gdy już zawodzenie syreny ucichło.

Zanim powiedziała ostatnie słowo, na plac wjechał albo raczej wpadł niczym kamień wystrzelony z procy zdezelowany passat. Za kierownicą siedział prezes OSP, Piotruś Sieradzki. Prezes, mężczyzna w kwiecie wieku, który dla większości wciąż był małym chłopcem uczęszczającym do pobliskiej podstawówki, z trudem udowadniał na każdym kroku, że jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Nie było bowiem łatwo dowieść, że mimo niespełna trzydziestu lat jest na tyle obrotny, żeby pisać projekty, pozyskiwać fundusze i rozwijać OSP z ponad stuletnią tradycją, która osiadła na laurach już jakiś czas temu. Powszechnie uznawano, że sto lat trwania mówi samo za siebie, co nieustannie celebrowano na przechodzących do historii wsi imprezach z okazji św. Floriana, patrona strażaków.

— Piotrusiu, to ja włączyłam syrenę. — Marynia wyszła przed zbitą w kupę siłę napędową Koła. — Nie możemy się dostać do remizy. Przewodniczącej nie ma...

Prezes stał z otwartymi szeroko ustami, z kluczami do garażu, w którym ukrywały się lśniące wozy bojowe, i dłuższy czas nic nie mówił.

— Ale że pani mnie tak wezwać chciała? Nie prościej było zadzwonić, czy na messengera... — jęknął w końcu i wyjął telefon z kieszeni. Kręcąc głową

i mamrocząc pod nosem, zabrał się za odwoływanie strażaków mających dziś dyżur, ale i tak po chwili na placu z piskiem opon zaczęły hamować auta drużyny ratowniczo-gaśniczej.

— Jakbym zadzwoniła, to byś powiedział, że jesteś zajęty — pufnęła zadowolona z siebie Marynia. — Masz naprawdę rewelacyjny czas. Kto by pomyślał, że się da w dwie minuty — dodała, zerkając na olbrzymi złoty zegarek wrzynający się w przegub.

— Falszywy alarm, panowie — wyjaśnił Piotruś zdyszany strażakom, którzy pojawili się obok niego. — A pani na przyszłość nie radzę wzywać straży nadaremno. Za to grożą konsekwencje prawne...

— Tak, tak. Teraz otwórz nam ten przybytek, bo nogi mnie już bołą — ucięła Marynia i nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę drzwi wejściowych.

Piotruś westchnął tylko z rezygnacją i począłapał za kobietą odprowadzany zdumionymi spojrzeniami swoich kompanów.

W grupce kobiet, dotąd milcząco obserwujących rozgrywającą się przed nimi scenę, też zawrzało. Bujnęły się i ruszyły za Piotrusiem do środka.

— Cholera, no — wymamrotała Monia i kolejny raz sięgnęła po telefon, żeby wybrać numer przewodniczącej, bo bez niej i tak nie mogły zacząć, ale w głośniku rozległ się uprzejmy elektroniczny głos, informujący, że abonent jest niedostępny i „plis traj

egein lejer”. Kobieta westchnęła i rzekła do wpatrujących się w nią pozostałych członków:

— Ktoś musi po nią iść... — Nie dokończyła jednak myśli, bo zza rogu remizy położonej nad malowniczym stawem, po drugiej stronie którego znajdował się park z ławeczkami rozlokowanymi wzdłuż deptaka, wyłoniła się przerażona Gosia, jedna z młodszych działaczek Koła, która z impetem wpadła do sali, gdzie znajdowały się członkinie Koła, a także kilku strażaków.

— Krew, ach, krew, wszędzie pełno krwi — wyrzuciła z siebie i słaniając się na nogach, wpadła teatralnie w ramiona najsolidniej jednak ze wszystkich zbudowanej Aldonki. Potem równie teatralnie zemdląła, wiedząc, że jeśli ktoś miałby ją utrzymać, chroniąc przed obiciem się o wyłożoną płytkami posadzkę sali w remizie, to byłaby to właśnie umięśniona Aldonka.

— To na pewno krew przewodniczącej — zawyrokowała grobowym głosem Gosia, uchylając na chwilę powieki i ponownie opadając w ramiona koleżanki.

— Skąd wiadomo, że to ludzka krew? Mało to teraz psów po wsi z cieczką lata? — parsknęła Marynia.

— Tyś chyba cieczi nie widziała. To słonica by musiała być, żeby tyle krwi... — odparła Gosia, otwierając oczy, ale wciąż wisząc w ramionach Aldonki.

— Ja czuję, że to ludzka — rzekła grobowym głosem blada z emocji Kasia. — Mówię wam, że tu się musiało coś złego wydarzyć. — Kasia, pulchna brunetka o idealnej jak u lalki twarzy, znana była z czarnowidztwa.

— Gadanie. — Marynia nadal bagatelizowała sprawę. — Jedź no tam która do domu przewodniczącej. Zaraz się okaże, że zasnęła albo obiad je.

— Ja pojedę — zaoferowała się Monia i poszła po swój rower.

— Jest krew, przewodniczącej nie ma. Akurat ta krew jest w tym samym miejscu, gdzie ona miała być. Wszystko pasuje. Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Nie ma szans, żeby to był przypadek... — Kasia zaplotła ramiona na piersiach i zmarszczyła ciemne, idealnie ułożone brwi.

Zanim ktokolwiek zdążył pomyśleć i opanować emocje, Piotruś, który wcześniej wyszedł z remizy, teraz wrócił do środka.

— Krew to krew. Ludzka czy nie, nie ma co się zastanawiać. Od tego są odpowiednie służby przecież. Przewodniczącej i tak nie ma, więc przy okazji wyjaśni się, gdzie się podziała — powiedział spokojnie, chowając do kieszeni telefon.

— Jak to służby? — Marynia zamarła.

— Policję wezwałem. Niech każdy zajmie się tym, do czego został przeznaczony. Wy festynem, policja

śledztwem, a ja wracam do koszenia łąki. Chłopaki przypilnują, żeby nikt nie zdeptał potencjalnego miejsca zbrodni. — Piotruś obeznany był z fachową terminologią, bo kryminalne zagadki nie były mu obce, a poza tym jego żona stanowiła obsadę posterunku policji w Stupsku z siedzibą w Konopkach. Obrócił się na pięcie i wyszedł, zostawiając zaskoczone kobiety.

Zaraz za nim i zgodnie z jego wytycznymi salę opuścili pozostali strażacy, by stanąć w strategicznych miejscach terenu OSP, czyli przy ścianie budynku oraz w okolicy płotu i bramy wjazdowej, i czujnie rozglądać się, czy niepowołany element nie depcze rzeczonych śladów.

Tymczasem wróciła zasapana Monia i rzuciwszy rower, wpadła do sali.

— Nie ma jej. Pozamykane wszystko, cisza i pustka — rzekła zziajana.

— Walałaś do drzwi? — nie odpuszczała Marynia.

— A jakże. Zaglądałam przez okna. Wołałam, pułałam. Nikogo nie ma — wyjaśniła Monia, złapawszy już nieco oddechu.

— No to pięknie zapowiada nam się festyn. Przecież nie mamy niczego ustalonego — burknęła Kasia. — Przewodnicząca miała ten swój zeszyt i co najważniejsze, całą naszą kasę. Tylko ona może dostać się do konta. Bez niej wszystko leży i kwiczy.

— Najbardziej to kwiczysz ty — warknęła Marynia. — Weź się w garść. Zrobimy to zebranie same. Rozdysponujemy zadania, ustalimy, co trzeba. O pieniądzu się nie martwcie. Zapłacę, za co trzeba, a jak się przewodnicząca znajdzie, to mi wszystko zwróci.

Marynia nie próżnowała. Wyczuła bowiem swoją wielką szansę na pokazanie, na co ją stać jako organizatorkę i przyszłą przewodniczącą. Zdawała sobie sprawę, że kobiety zapamiętają sobie, kto uratował honor Koła w krytycznym momencie i kto zarządził zasobami ludzkimi oraz udostępnił swoje okazałe konto.

Tymczasem zdezelowana kia, szumnie zwana radiowozem, zaparkowała na chodniku obok płotu odgradzającego teren OSP od ruchliwej drogi wojewódzkiej, przez którą z rumorem co i raz przetaczały się głównie ciężarówki.

— Jest miejsce na parkingu. Żeby nie stwarzać niebezpiecznych sytuacji, to może... — zaczął Piotruś, ale starsza aspirant Grażynka Mrówka zmierzyła go takim spojrzeniem, że umilkł.

— Niech się prezes nie wcina w kompetencje policji. Policja jeździ pojazdem uprzywilejowanym i ma prawo zaparkować tam, gdzie tego czynności wymagają, nawet jakby to prezesa zboże było. — Grażynki bali się wszyscy, łącznie z prezesem, a i sam wójt drżał pod jej spojrzeniem. Blondwłosa Grażynka

wzbudzała bowiem lęk nie tylko powagą urzędu, ale przede wszystkim gabarytem i siłą mięśni. Wzrostem przewyższała większość mężczyzn we wsi. Ostateczny respekt zdobyła sobie jednak, kiedy po objęciu zaszczytnej funkcji szefowej posterunku, na Sołtysiadzie pokonała w zawodach w siłowaniu się na rękę wszystkich osiłków i wygrała Puchar Wójta Gminy. Od tego czasu nikt nie śmiał się jej przeciwstawić, a niemal zerowa przestępczość spadła poniżej zera. Nikt nie miał odwagi nawet rowerem prowadzić po spożyciu piwa, a co dopiero popełniać na terenie Grażynki jakieś inne przestępstwa. Stało się to zmorą kobiety, bo przecież pełna była werwy i chciała działać, ścigać niebezpiecznych przestępców, morderców, w najgorszym razie złodziei. Tymczasem w okolicy kompletnie nic się nie działo, a największym osiągnięciem Grażynki stało się schwytywanie złodzieja kur, który po krótkim sam na sam z aspirant Mrówką wysprzątał nawet kurnik okradzionej babci hodującej kury dla samych jajek.

W działaniach prewencyjnych, bo głównie na takich skupiała się praca policji w Stupsku, Grażynkę wspierała Mariolka Sieradzka, żona Piotrusia, prezesa OSP. Ona z kolei była pod każdym względem przeciwieństwem swojej przełożonej. Nie dość, że drobna, niska, ciemnowłosa i bardzo kobieca, to jeszcze spokojna, opanowana oraz łagodna. W tym

przypadku śmiało można było zaryzykować stwierdzenie, że kobiety stanowiły idealny zespół złożony ze złego i dobrego gliny, jak w każdym dobrym serialu kryminalnym, a tych Mariolka naogłądała się tyle, że żaden seryjny morderca ani inny wynaturzony typ nie był jej w stanie zaskoczyć czy przestraszyć.

Policjantki fachowo obejrzały miejsce domniemanej zbrodni, w czym kibicowały im członkinie Koła, które wyległy przed remizę i z pewnej odległości obserwowały policyjne czynności polegające głównie na ostrożnym przyglądaniu się dobrze widocznym, choć pociemniałym, śladom na trawie przypominającym rozmazaną brązową farbę. Jako że miejsce było zacienione, bo znajdowało się od północnej strony remizy, krew na wilgotnej od rosy trawie nie zdążyła do końca zastygnąć.

Grażynka z premedytacją oraz satysfakcją wypięła się tylną częścią ciała w stronę obserwujących ją kobiet oraz strażaków i głośno mruknęła. Potem wyprostowała się i zanotowała coś w notesie, który miała ze sobą. W rzeczywistości zrobiła kilka bazgrołów, oczywiście wszystko dla podkreślenia wagi tego, co robiła.

— Z całą pewnością to jest krew — rzekła Mariolka.

— Całkiem sporo krwi — sprostowała Grażynka.

— A nie mówiłam? — wymamrotała, usłyszawszy to, Kasia.

— I co teraz? — wyrwała się Monia.

— Niech nie przeszkadzają w czynnościach — ofuknęła Grażynka kobiety. — Zawiadomiłam komendę powiatową. Powinni przysłać techników. Do tego czasu... — Podeszła do grupki członkiń Koła i stanęła przed nimi na rozstawionych nogach. — Będziemy zabezpieczać miejsce. — W środku jednak aż gotowała się z emocji. Miała cichą nadzieję, że krew okaże się ludzka i jeśli nie znajdą się zwłoki, to choć jakaś część ciała, żeby ona mogła wreszcie się wykazać.

— Rozejść się — zakomenderowała słabym głosem Mariolka i dodała: — Proszę.

Grażynka obrzuciła ją spojrzeniem pełnym dezaprobaty, a następnie zrobiła krok do przodu. Gospodynie z westchnieniami niezadowolenia, nie zaspokoiwszy swej ciekawości, wycofały się do głównej sali remizy.

Swoim zwyczajem kobiety wzięły się najpierw za parzenie kawek i herbatek oraz krojenie ciast, które przyniosły ze sobą niektóre z nich. Jednak bez przewodniczącej jakoś nie smakowały im łakocie. Tylko Marynia zajadała z apetytem solidną porcję kremówki wypchanej masą tak, że aż wypływała bokami. Kiedy się posiliła, a pozostałe członkinie

chrząkaniem dały znać, że czas byłoby zacząć spotkanie, niespiesznie wymieszała swoją kawę, uprzednio doprowadzając ją pokaźną łyżeczką cukru. Napięcie i niepewność to najskuteczniejsza droga do podporządkowania sobie ludzi. Tak w każdym razie uważał mąż Maryni, który, jak mawiał, zjadł zęby na biznesie, a konkretnie na hodowli kur w licznie budowanych w gminie kurnikach. Marynia nie była w ciemni bita, więc korzystała z doświadczeń mężowskich, choć w życiu by się do tego nie przyznała. Wreszcie otarła usta, odchrząknęła i przemówiła:

— Z racji nieobecności przewodniczącej dzisiejsze zebranie poprowadzę ja. — Tu Marynia zrobiła efektowną pauzę i powiodła wzrokiem po zgromadzonych, z satysfakcją zauważając, że kobiety kiwają z aprobatą głowami, w czym przypominały jej owe zapomniane już pieski sadzane dawniej w tylnych szybach aut. O to chodziło, żeby przytakiwały. — Jak wiecie, panie, spotkałyśmy się w tym szacownym gronie, żeby omówić i ustalić pewne kwestie związane z organizacją dorocznego festynu gminnego, który w tym roku ma zaszczycić posłanka Ciupińska, wojewoda i być może, ale powtarzam, być może, na zaproszenie mojego męża, senator Bródka.

Po sali rozszedł się szmer zdziwienia.

— To może my jednak powinnyśmy poczekać na przewodniczącą... — zaczęła niepewnie Monia,

jednak Marynia nie dała jej dokończyć. Należało kuć żelazo, póki gorące, a Koło zaczynało stygnąć.

— Ja osobiście zaprosiłam Zenka — dokończyła z triumfalną miną Marynia, słysząc brzęknięcie opadających na podłogę szczęk. Nie było bowiem tajemnicą, że jej małżonek przyjaźnił się z wieloma politykami i gwiazdami z najwyższej półki, jednak ona potrafiła otworzyć każde drzwi, nawet jeśli trzeba było użyć wytrycha. Dlatego uważała, że to żadna sztuka zapraszać znajomych. Wyczynem było skłonić obcego człowieka do zmiany wszelkich planów.

— Ciekawe tylko, kto za to zapłaci — burknęła Kasia.

— O to już niech was głowa nie boli. Stać nas na taki gest, choć to nie są tanie rzeczy. — Marynia ostentacyjnie wydeła wargi. Niech sobie gawiedź spekuluje, ile zarabiają Bogaccy.

— Czterdzieści tysięcy za pół godziny na weselu kuzyna wzięli Boysi — mruknęła Aldonka, aż Kasia, która właśnie uniosła kubek z kawą do ust, opluła siebie i siedzącą obok Monię.

— No naprawdę — fuknęła Monia, choć nie do końca było wiadomo, czy wyraziła swoje oburzenie z powodu plam na koszulce, czy też z powodu stawek Boysów.

— Przejdźmy zatem do podziału zadań i ustalenia menu — perorowała tymczasem Marynia, nie

tracąc czasu. — To musi być festyn na najwyższym poziomie. Żadne tam chochoły, snopy zboża, przaśne dziewczuchy i wiejski chleb ze smalcem. Ma być na bogato, wykwintnie i oszałamiająco.

— Ale jak to tak bez balotów zboża... — wtrąciła się wyraźnie zniesmaczona Jadzia, żona rolnika i jednocześnie dostawcy owych balotów na coroczne festyny. — To taka nasza tradycja.

— Tradycja, srycja — ucięła dalsze dyskusje Marynia, zobaczywszy, jak kobiety zerkają na siebie z powątpiewaniem w oczach. — Snopy może i mogą być. Czymś te chaszczki obok stadionu trzeba będzie zasłonić. Pod warunkiem, że to wszystko tak się ustawi, żeby ze smakiem było. Mam znajomą florystkę, projekt nam zrobi. Potrzeba też dużych namiotów eventowych. Trzeba stoły udekorować i nakryć elegancko. Kto się tym zajmie? — Marynia rozłożyła kajet i zaczęła notować nazwiska. — Nie posadzimy byle gdzie tak dostojnych gości. Menu też musi być wykwintne. Proste dania, elegancja, dekoracja, rozmach, szyk i smak... — W oczach kobiety płonął ogień natchnienia podsycany rozanielonym spojrzeniem Jadzi i kilku innych kobiet.

— I Zenek — mruknęła Aldonka pod nosem.

Marynia spiorunowała ją wzrokiem, ale kobieta tylko wzruszyła ramionami i zabrała się za oglądanie swoich paznokci w kolorze fuksji.